

Szlif

Miesięcznik Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej
wydawany dzięki dotacji Wydziału Edukacji Urzędu Miejskiego Wrocławia

Dzieci lubią misie, misie lubią dzieci*

Misie, niedźwiadki, miśki, uszatki. Nie od dziś wiadomo, że to właśnie one rządzą animowanym światem zarówno tych małych, jak i trochę starszych widzów. Chyba każdy jest w stanie wymienić przynajmniej trzy misie, które zna z wieczorynek.

z niecierpliwością czekałam na kolejny odcinek – wspomina.

Fenomen Puchatka

Wydawać by się mogło, że Stumilowy Las to oaza radości i

chologowie, o czym informuje serwis BBC. Autorzy raportu uznali, że każda z tych postaci wymaga troskliwej opieki psychologa lub psychiatry. Lekarze uważają, że na Kubusia Puchatka, misia o bardzo małym rozumku, niekorzystnie wpływa powtarzające się wciąż wleczenie po schodach głową do dołu przez ciągnącego go za nogę opiekuna – Krzysia. Najprawdopodobniej dlatego Kubuś ma takie trudności z nauką. Uczelni określili to, jako „zespół bitego misia”. Dodatkowo psychologowie podejrzewają Puchatka o ADHD. Jego zainteresowanie miodem i nieustanne sprawdzanie zapasów w spiżarni określają z kolei jako nerwice natręctw. Również odpowiednio dobrane leki mogłyby częściowo złagodzić chroniczne stany depresyjne Kłapouchego czy pociąg Tygryśka do ryzyka. Lekarze sugerują, że pozostałe postaci wymagają nie tyle leczenia farmakologicznego, co raczej

pomocy terapeuty i odpowiednich modeli ról życiowych. Psychologowie nie postawili dokładnej diagnozy jedynie w przypadku Krzysia. Podkreślają jednak, że brak dostatecznej i pełnej opieki ze strony rodziców odbija się na jego samopoczuciu.

Najmłodszy mają jednak inne zdanie na ten temat. Kubuś Łuskiak, siedmiolatek z małej miejscowości niedaleko Szczecina, jest wielkim fanem Kubusia Puchatka. Posiada ogromną kolekcję filmów o „misiu z małym rozumkiem” i liczne gadzety związane ze swoim ulubieńcem. Na pytanie, dlaczego tak go lubi, odpowiada rezolutnie:

– No jak to, nie wiesz? Zajada „małe co nieco”, ma fajnych przyjaciół i mieszka w Stumilowym Lesie, a tam zawsze jest wesoło. No i mam na imię Kubuś, tak jak Puchatek.

Podobne zdanie ma Agata Kłodziej z IX LO we Wrocławiu:

– Ubóstwiam oczywiście misia Puchatka, bo ciągle kradnie miód pszczołom i mimo niebezpieczeństwa i skutków, nie przestaje! Jest uparty i zrobi wszystko dla jedzenia, prawie tak jak ja.

Ulubiaki

Nie wszyscy jednak darzą sympatią niedźwiadka ze Stumilowego Lasu.

– Najbardziej lubię misia Paddingtona. Miał śliczną walizkę, fajny niebieski płaszcz i robił to, co kocham najbardziej, czyli podróżował – mówi Anna Mach, licealistka z Wrocławia.

Jej koleżanka Magdalena Gruntkowska, z IV LO, ma innego faworyta:

– Myślę, że Miś Uszatek jest najlepszy. Kiedy jego przyjaciele mieli kłopoty, zawsze im pomagał. No i oczywiście miał kłopoty uszko.

– Najbardziej lubiłam Gumiś, bo były jedną z najciekawszych dobroćek, zawsze się w nich coś działo i nie były nudne – dodaje Paulina Stęporowska z Wrocławia.

Stare przysłowie ludowe mówi, że „w bajce bywa połowa prawdy”. Czy rzeczywiście tak jest? Pozostawiam dowolność interpretacji.

MAŁGORZATA CYMERMAN

* Cytat z piosenki kończącej „Misia Uszatka”.



Lubimy je za to, że mówią o ważnych wartościach, na przykład przyjaźni czy zaufaniu. Pokazują świat, może trochę wyidealizowany, ale kolorowy i radosny. Są miłą odskocznią od pracy czy nauki. Czasem wzruszają, innym razem śmieją. Mogłoby się wydawać, że bajki zarezerwowane są tylko dla dzieci. I tu czeka nas niespodzianka, bo dorośli również mają swoich ulubieńców. Wprawdzie z nostalgią wspominają momenty, kiedy wieczorynki były pozbawione przemocy i zamiast ogłupiać uczyły, ale nie zapominają też, że czasy się zmieniają, a co za tym idzie, inne stają się upodoba-



Fot. Magda Patek

nia nowych małych widzów. Moja mama z uśmiechem przyznaje, że jej ulubionym misiem z dzieciństwa był Colargol.

– Bajka ta, pozbawiona przemocy, miała morał, uczyła, jak radzić sobie z problemami. Zawsze

zabawy, a wcale tak kolorowo nie jest. Nowicjusz na jednym z internetowych forów pisze:

– Świat mieszkańców Stumilowego Lasu to siedlisko zaburzeń psychicznych i psychospołecznych. Pod lupę wzięli je kanadyjscy psy-

Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie?

Bardzo często spotykamy się z głosami, że przyjaźń damsko-męska nie istnieje. Zawsze mówi się, że któraś strona na pewno kocha i ewentualnie to ukrywa, ale zdarza się, że osoby przeciwnych płci mają już innych partnerów.

– Moim zdaniem ci, którzy uważają, że taka przyjaźń nie może istnieć, albo jej nie potrzebują, albo nie mieli okazji jej doświadczyć – mówi Michał Krawiec podczas spaceru z dziewczyną... i przyjaciółką. Dodaje, że to one poznały się najpierw i to właśnie Kaśka zeswatała go z Malwiną, wówczas sama była z jego kumplem i choć minęło już pięć lat, nadal mają ze sobą świetny kontakt i nie wyobrażają sobie życia bez wiszenia na telefonie.

– Przyjaźń między dziewczyną a chłopakiem może istnieć tylko wtedy, gdy przynajmniej jedna osoba ma partnera lub partnerkę. W innym wypadku zazwyczaj do siebie zarywają – tłumaczy Kryśia Kulisiewicz, uczennica XIII LO we Wrocławiu.

– To nie ma racji bytu. Prędzej czy później związek rozpada się z powodu rzekomego przyjaciela – wtrąca do rozmowy Ola.

Niestety, wiele innych komentarzy również jest na NIE. Powody są różne, jednak rzadko poparte własnymi doświadczeniami.

Według mnie wiele osób boi się zaryzykować przede wszystkim z powodu krążącego od lat stereotypu. Wśród osób starszych pojawiają się także głosy, że dziewczyny zadające się z chłopcami upodabniają się do nich zachowaniem, a potem skaczą po drzewach i nie chcą nosić sukienek. Słyszałam również komentarze porównujące taką więź do związków homoseksualnych – nie trzeba w nie wierzyć, a jednak są, choć ich wizerunek nie wygląda najlepiej.

Jednak czy niektóre zasady nie są właśnie po to, by je łamać?

– Z przyjaźnią damsko-męską jest różnie. Niektórym się udaje, innym nie. To jest jeszcze nieokreślone, choć myślę, że jest możliwe. Wiadomo, czasem

wyjdzie z tego coś innego, ale trzeba eksperymentować – podsumowuje Monika po przeczytaniu dyskusji na forum.

Według mnie fenomen przyjaźni nie opiera się na wspomnianym wizerunku, lecz na bezgranicznym zaufaniu. Nieważne jest, czy są to kobiety, mężczyźni, czy przedstawiciele obu płci, liczy się szacunek i wsparcie. Nie wyobrażam sobie życia bez najlepszego przyjaciela, z którym już od kilku lat rozumiemy się

bez słów. Mogę powiedzieć mu dosłownie o wszystkim i liczyć na pełne zrozumienie oraz całkowitą dyskrecję. Wiemy o sobie bardzo dużo i zawsze możemy liczyć na wzajemną pomoc. Miłość? Owszem – braterska, lecz nie poza tym. Często mówimy do siebie per Braciszku czy Siostrze, wynika to z silnej więzi, którą można porównać do stosunków w rodzeństwie, jednak zdecydowanie rzadziej się kłócimy. Ponadto zawsze możemy liczyć na szczerą radę w każdej kwestii.

Są jeszcze inne plusey... nigdy nie posprzeczamy się o pożyczoną szminkę czy dziewczynę.

KLAUDIA LAMPA



Fot. Joanna Cymbor

„Daj coś od siebie” wśród hitów 2010!

Po roku pełnym wspaniałych inicjatyw i niekontrolowanych wpadek „Gazeta Wyborcza” ogłosiła wrocławskie hity i kity 2010, czyli dokonania ważne, niecodzienne i takie, za które ich autorzy powinni się wstydić do końca życia. „Daj coś od siebie” – akcja klas dziennikarskich z XIII LO, promująca transplantologię – znalazła się w pierwszej grupie, wśród ośmiu hitów ostatniego roku. Została ona wyróżniona obok m.in. Ogrodu Staromiejskiego przy Teatrze Lalek, najnowocześniejszego robota chirurgicznego czy Synagogi pod Białym Bocianem.

Licealiści poprzez swoją akcję zachęcają do podpisywania kart oświadczeń woli na pośmiertne pobranie narządów, w myśl, że jeden taki „autograf” może uratować komuś życie. Docierają do swoich rówieśników, przygotowują spotkania, tworzą happeningi w centrach handlowych. Dostrzeżeni przez dziennikarzy „Gazety Wyborczej”, po raz kolejny udowodnili, że młodzież nie jest wcale synonimem wszelkiego zła, a potrafi dać od siebie o wiele więcej!

PATRYCJA PIETRUSZKA

Okiem
RecenzentaBizantyjska
armia ślepców

„Szlif niepewnie, wystawiając przed siebie ręce, jak ślepcy. Car początkowo nie rozumiał dlaczego [...]. Im więcej wkraczało ich na wielki plac, tym straszniej to wyglądało. Tylko gdzieś tam gdzieś któryś z żołnierzy błyskał ocalałym okiem i prowadził innych w głąb twierdzy [...]”.

Skoro było Cesarstwo Rzymskie, Imperium Osmańskie, Imperium Rosyjskie, to dlaczego nie Imperium Bizantyjskie w Europie, w XXI wieku? Żadnych przeszkód nie ma i fakt ten wykorzystał Romuald Pawlak, pisząc *ARMIA ŚLEPCÓW*. Cóż się dziwić, autor jest pionierem w tego typu tematycznych dziwadłach. Fabularnie wychodzi mu to bardzo dobrze, do konstrukcji świata przedstawionego nie można się z żadnej strony przychylić. Jest oryginalny motyw historyczno-polityczny, całość trzyma się kupy, jest przystępnie, jasno i obliczone z nastawieniem na zaciekawienie czytelnika. Pawlakowi udało się ominąć nudne opisy fabularnego tła, bez poniesienia strat w odbiorze powieści, a to nie lada sztuka. Za mistrzowski patent uważam wplecenie drugiego, równorzędnego wątku, ale całkowicie różnego od głównego. Jedyny ich punkt stychny to moment, kiedy drugi wątek wpływa z pierwszego. Można by powiedzieć, że nie wielkiego, ale wyjątkowość polega na tym, że dodatkowy motyw zaczyna się w połowie powieści i nie łączy się na końcu z głównym. Tak to też wyszło, że drugi wątek jest ciekawszy od pierwszego, a to chyba niekoniecznie zamierzony efekt.

Pomysł świetny, fabuła w porządku, ale... No właśnie, coś szwankuje i tym czymś jest całkowity brak wyrazistości. Autorowi chyba zabrakło charakteru, a przez to książce polotu. Całość jest totalnie bezpłciowa, mimo wszystkich pozostałych zalet. Nie to, żeby wiało nudą – najlepszym określeniem byłoby raczej powiedzenie, że „Armia ślepców” jest po prostu mdła.

Mimo mojego zachwytu oryginalnością tematu, niestety nie mogę sobie pozwolić na polecenie tej książki smakoszem fantastyki. Przeczyta człowiek dwieście czterdzieści sześć kartek, a w głowie mało co zostanie, nie mówiąc już o poszerzeniu literackich horyzontów. Z bólem, ale też poczuciem sprawiedliwości, stwierdzam: nie polecam!

KAROLINA
KULA

Byś był szczęśliwy
i wesołą miał twarz

Nieczęsto zdarza się, aby ludzie w każdym wieku – przedszkolaki, młodzież, dorośli czy emeryci, wychodzili z jednego przedstawienia równie radośni i naładowani pozytywną energią. Udało się to Mariuszowi Kilianowi, reżyserowi „Lata Muminków” – spektaklu wystawianego na deskach Wrocławskiego Teatru Lalek od października ubiegłego roku.

Uczniowie klas dziennikarskich XIII LO zostali zaproszeni przez Roberto Skolmowskiego, dyrektora Wrocławskiego Teatru Lalek, na przedstawienie pod tytułem „Lato Muminków”. W pochmurny czwartek 13 stycznia kilkudziesięciu młodych dziennikarzy przyszło oglądać spektakl dla dzieci. Dziwne, prawda? Słychać było pomrukiwania, że ile to my mamy lat, że przedszkole dawno za nami...

Akcja toczy się na kilku scenach teatru, co już jest odeszciami od konserwatywnego schematu. Najpierw wszyscy zebrani w holu przechodzimy za wielką, czerwoną kotarą do korytarza, w którym to niezbyt sympatyczny, ubrany w policyjny mundur pryncypał Paszczak wykrzykuje, czego to nam nie wolno. Szybko okazuje się, że nie można skakać, biegać, krzyżeć i stać na trawie. Dalej przechodzimy schodami na dużą scenę, zajmując miejsca z tyłu, aby nie zasłaniać widoku najmłodszym odbiorcom. Zostaje wyświetlona barwna animacja, jak to Muminki uciekają z zagro-

żonego powodzą domu, przezywana fragmentami nagrań z wrocławskiej powodzi 1997 roku.



Fot. Paweł Kozioł

Po projekcji na scenie pojawiają się główni bohaterowie. Na twarzach tych małych i tych nieco większych widzów pojawiają się szerokie uśmiechy na widok grubutkich, przesympatycznych bohaterów książek Tove Jansson,

witających się z publicznością. Okazało się, że pozostawiając swój dobytek, trafili oni do teatru, który od tego momentu staje się ich nowym domem.

Szczurzyca Emma tłumaczy Muminkom, czym jest teatr, jakie są tajniki jego funkcjonowania. Uczy najmłodszych, jak należy się w nim zachowywać. Nie jest to jednak tani dydaktyzm. Maluchy z rumieńcami na twarzach i szeroko otwartymi oczami słuchają, co mają im do powiedzenia bohaterowie bajki. My przechodzimy do garderoby, a następnie rekwizytorni, gdzie Homek z Muminkiem angażują publiczność do śpiewania piosenki i ukazują kulisy powstawania spektaklu, dobierania scenografii. Wracamy ponownie na dużą scenę, gdzie już od jakiegoś czasu Tata Muminka nieudolnie próbuje stworzyć własną sztukę, a Migotka z Małą Mi i Mimblą wyklócają się o to, która z nich zostanie primadonną. Całkowicie pochłonięci magią, jaka emituje ze sceny, kończymy podróż do kolorowej krainy marzeń wraz z pulchnymi przyjaciółmi z dzieciństwa, patrząc na ostatnie wygłupy Muminka i Ryjka, wybierających się za lwa.

Dzisiejszej młodzieży potrzebne są takie właśnie bodźce, aby przystanąć na chwilę i zastanowić się nad tym, kim jesteśmy,

jacy jesteśmy, a jacy być powinniśmy. Pozornie banalna opowiadka o antropomorficznych, nieporadnych stworkach niesie ze sobą wiele wartości, o których często zapominamy. W „Lecie Muminków” świat bajkowy sprytnie został wymieszany z realnym, zatarcie tej granicy tworzy niesamowity klimat. Mali i duzi mogą choć na chwilę zapomnieć o problemach dnia codziennego, podziwiając wspaniałą grę aktorów, kostiumy, które nie pozostawiają nic do życzenia. To właśnie ich twórcom należą się gromkie brawa za ukazanie naszych ulubionych bohaterów, niczym żywcem wyjętych z ekranu telewizora.

Grzechem byłoby nie wspomnieć o niebanalnej oprawie muzycznej przygotowanej przez Sambora Dudzińskiego, która towarzyszyła nam do samego końca. Muzycy baśniowo wystylizowani, w czarujących strojach i fryzurach, przygrywali wesoło na nietypowych skrzypcach. Wielkim plusem jest fakt, iż reżyser nie pozwała odbiorcy na przybranie biernej postawy podczas całego spektaklu. Przedstawienia tego typu, wychodzące poza ramy, niemieszczące się w kanonie, są bardzo potrzebne współczesnej młodzieży. Muminki uczą nowego spojrzenia na teatr. Nie jako na pokrytą grubą warstwą kurzu, smutną instytucję dla odludków, w której dwóch aktorów bez życia powtarza „być albo nie być”. Wychodząc z widowni, przesiąknięci jesteśmy pogodą ducha, która powinna skłaniać do autorefleksji, a w rezultacie do działania.

TOMASZ KRAJCARSKI

Zamiast Facebooka – książka

W dzisiejszych czasach młodzież znajduje rozrywkę przede wszystkim w internecie lub w telewizji. Jak igły w stogu siana można szukać osoby, która zamiast tego sięga po książkę. Taką igielką jest ALEKSANDRA BYCZKOWSKA, pasjonatka literatury i już od kilku dobrych lat internetowa recenzentka.

– Kiedy napisałaś swoją pierwszą recenzję?

– Moja przygoda z recenzowaniem zaczęła się w szkolnej ławce. W podstawówce nie czytałam książek, po prostu je pochłaniałam. Z czasem zaczęłam je porównywać, oceniać, układać we własne rankingi. Moja pierwsza publikacja ukazała się, gdy miałam dwanaście lat.

– Gdzie można zobaczyć Twoje recenzje?

– Od sześciu lat współpracuję z Panią Katarzyną Majgier – autorką książek dla młodzieży, która założyła portal internetowy dla dzieci i nastolatków *Junior.reporter.pl*. Parę lat temu powstała także *Amanita.pl* – kolejne dzieło Pani Kasi, tym razem dla trochę starszych odbiorców. Tam również publikuję. Zdarza mi się też umieścić coś w serwisie *BiblioNETka.pl*.

– Czy czerpiesz jakieś korzyści z publikowania swoich recenzji na portalach, czy może robisz to całkowicie bezinteresownie?

– Moja współpraca z *Juniorem* i *Amanitą* polega na tym, że od ich redakcji dostaję książki, które oni z kolei otrzymują od wydawnictw w ramach promocji nowych publikacji. Moim zadaniem jest przeczytanie i ocenienie danej powieści. Wtedy owa książka staje się moją własnością. Z kolei, jeżeli nie wywiążę się z umowy, muszę ją odesłać. Recenzje piszę jednak głównie dla własnej satysfakcji. Dzięki

temu nabieram także doświadczenia.

– Jakie książki przysyłają Ci wydawnictwa? Zdarza się, że nie trafiają w Twój gust? Jak sobie wtedy radzisz? Czy jest łatwo napisać negatywną recenzję?

– Książki, które dostaję, zazwyczaj są publikacjami dla najmłodszych i nastolatków, jednak zdarzają się też takie, które śmiało można polecić osobie dorosłej. Może to dziwne, że mimo mojego wieku ciągle mam ochotę czytać – a nawet oceniać – książki dla dzieci, ale jestem zdania, że czasem trudniej napisać dobrą powieść dla młodszych czytelników niż tę zaadresowaną do osób dojrzałych. Oczywiście nie każda książka, która do mnie trafia, zyskuje moje uznanie. Bywają też takie, o których nie potrafię napisać miłego słowa. Nie jest to wcale przyjemne zadanie. Nie można jednak zadowolić wszystkich – zdarzają się pozytywne, jak i negatywne komentarze. Pisarz, decydując się na wydanie swojej powieści, musi być tego świadomy.

– Co sądzisz o dzisiejszych książkach młodzieżowych?

– Wiadomo, że bywają książki lepsze i gorsze. Tak zawsze było, jest i będzie – bez względu na czas, w którym one powstają. Jednak patrząc na współczesną literaturę młodzieżową, załamuję ręce. Odnoszę wrażenie, że autorzy książek przestali wymagać myślenia od swoich czytelników. Obniżają

poprzeczkę zamiast ją podnosić. Współczesny nastolatek nie musi wyciągać wniosków, nie jest zmuszany do refleksji, prowokowany do szukania odpowiedzi na pewne



Fot. Aleksandra Byczkowska

pytania. Pisarze uciekają w utarte schematy, bo widzą, że zdobyły one uznanie wśród odbiorców. Dlatego najpierw zalewała nas fala powieści o czarodziejach, aktualnie w rankingu ulubionych postaci wygrywają wampiry. Nie oznacza to jednak, że w dzisiejszych czasach nie powstają także książki mądre, wartościowe i godne naszej uwagi. Trzeba tylko umiejętnie wybierać je spośród całej reszty.

– Masz jakieś wskazówki dla początkujących recenzentów? Namawiałaś już może kogoś do rozpoczęcia pisania? A może ktoś poprosił Cię kiedyś o radę?

– Nie uważam się za eksperta w tej dziedzinie. To, że publiku-

ję swoje recenzje tak długo, nie oznacza wcale, że są one dobre. Niemniej zawsze chętnie wymieniam się doświadczeniami z tymi, którzy mnie o to proszą. Aby pisać dobre recenzje, trzeba przede wszystkim czytać dużo innych – dla porównania, a także, by poprawić swój warsztat. Jednak nic nie szlifuje go lepiej, jak ciągle pisanie. Dużo czytać i dużo pisać. To podstawa. Potem można myśleć o całej reszcie.

– Czy zamierzasz napisać książkę?

– Trzeba zaznaczyć, że pisanie a wydawanie książek to dwie różne sprawy. Może w przyszłości uda mi się coś napisać, jednak niekoniecznie wydać. Posługiwanie się słowem to dla mnie przede wszystkim jedna z metod uwrażliwiania ludzi – obok posługiwania się obrazem i dźwiękiem. Może kiedyś spróbuję w tym swoich sił. Uważnie obserwuję otaczającą mnie rzeczywistość. Czas pokaże, czym to zaowocuje.

– Czy według Ciebie młodzi ludzie czytają zbyt mało?

– Gdybym mogła zaryzykować i wrzucić młodzież do jednego worka, przyznałabym Ci rację. Ogółem nastolatki czytają mało. Ale są przecież i wyjątki potwierdzające regułę. Jednak młodzi ludzie wciąż zapominają o tym, jak czytanie procentuje w przyszłości. Nie ma prostszej i przyjemniejszej metody nauki. Czytając, zdobywamy nowe doświadczenia, wzbogacamy słownictwo, pracujemy nad ortografią i stylem, rozwijamy wyobraźnię. Gdy nastolatki nie sięgają po książki, zamykają przed sobą większość drzwi.

MONIKA RAKOWICZ

Rozmiar nie ma znaczenia

O tym, że nie istnieje inteligentna blondynka i urocza Niemka, wiemy. Wie o tym cały świat, wszystkie media i słowniki definiujące pojęcie „stereotyp”. Warto dołączyć również do listy przedstawicielki płci pięknej uprawiające sport, które posiadają naturalny, duży biust. Panowie śmieją się, że takie kobiety są jak UFO, bo ich nikt nie widział. Spokojnie, drogie panie! W porównaniu z nami żaden facet nie może powiedzieć o sobie, że małe jest piękne.

W ankietach dla mężczyzn, ustalających, co podoba im się w kobietach, biust plasuje się daleko za twarzą, nogami i pośladkami. To niespodzianka dla wszystkich zakompleksionych posiadaczek małego rozmiaru.

– Skłamałbym, gdybym powiedział, że wielkość miseczki się nie liczy. Nie stawiam jednak na ilość, a jakość – stwierdza Jan Choczaj, uczeń XIII LO.

No stress

– Bez naturalnego „nadbagażu” kupienie czegoś jest łatwiejsze. Nie musisz martwić się, że któraś bluzka zatrzyma się na biuście i nie dasz rady jej założyć – śmieje się Monika Parda, licealistka.

Ma rację. W sklepach sieciowych rzadko można dostać odzież dopasowaną do każdego typu piersi. Oczywiście z wyjątkiem rozmiarów miseczki A i B.

W Anglii za biustonosz od rozmiaru D, marki Marks & Spencer, trzeba płacić dodatkowo dwa funty. Producenci tłumaczą się, że więcej materiału zwiększa koszt sprzedaży. Angielki z małym biustem cieszą się więc, bo im większe piersi, tym drożej płaci się tam za markową bieliznę.

Nie widziały gały, co brały

– Z małym biustem można sobie doskonale poradzić, dobierając odpowiednią bieliznę. Łatwiej jest wymodelować małe piersi i je ujędrnić. Panowie, którzy z uwielbieniem patrzą na panie z dużym biustem, nie wiedzą, co tak naprawdę kryje się pod biustonoszem. Często piersi te są nieproporcjonalne i zaniedbane, a praca nad nimi jest naprawdę czasochłonna – mówi Aneta Wagner, właścicielka wrocławskiego butików z bielizną. A poza tym często efekt push up, o który

wzbogacona jest bielizna, bywa złudny. Kuba Wojewódzki poniekąd miał rację mówiąc, że „z dużymi piersiami u kobiet to jest tak jak z rybami w wodzie: wydają się duże, dopóki człowiek nie złapie”.

Duży biust znokautowany

Może bowiem zrujnować karierę. Nie chodzi oczywiście o karierę sekretarki, stewardessy czy prostytutki. Dowodem jest historia Sary Blewden, która rozpoczęła parę lat temu amatorskie treningi w pięściarstwie i szybko okazało się, że ma do tego talent. Szykowała się do igrzysk w 2012 roku, jednak brytyjska federacja zdyskwalifikowała młodą pięściarkę i zarzuciła, że jej piersi pewnego dnia mogą na ringu wybuchnąć. Nim jednak wybuchły, wygasła kariera Blewden. Powód? Powiększone piersi.



Rys. Magda Haglauer

Nawet Adam Małysz kilka lat temu przyznał, że skoki narciarskie nie są dyscypliną sportu dla kobiet. Stwierdził, że przy ewentualnym upadku grozi to oszpecceniem, a nie wolno oszpecać piękna! Poza tym w dojeździe do progu przeszkadza paniom właśnie biust. Małysz ewidentnie chciał być miły...

Drogi panie! Jak widać, duży biust prosto z amerykańskiej pornografii nie musi być wcale speł-

nieniem męskich marzeń. To, że kobiety z mniejszym walorem tu i ówdzie nie są atrakcyjne, wymyślił człowiek, któremu należy się nagroda Nobla. Nic bowiem tak głęboko nie zakorzeniło się w ludzkiej podświadomości. W rewanżu za te wszystkie „deski”, „wieszaki” i „chłopięce sylwetki” wystarczy dodać: duży, zaniedbany biust z wiekiem jest jak podróż, której celem jest pępek.

PATRYCJA PIETRUSZKA

Wirujący seks?

Pewne tytuły filmów wryły się już na stałe w naszą polską pamięć, stworzyły uniwersalny symbol, do którego zawsze odnajdziemy drogę, nawet po wielu latach. Mowa o kontrowersyjnych tłumaczeniach światowych przebojów kinowych.

Mimo tego, że podstawowy angielski zna większość społeczeństwa, tylko niewielki procent zdaje sobie naprawdę sprawę, co rzeczywiście ogląda. Gdy zastanowimy się nad genezą niektórych dzieł, możemy dojść do wniosku, że praca tłumaczy jest momentami nieco... dziwna. Co ma bowiem wspólnego *Dirty Dancing z Wirującym seksem*?

Nazwą filmu zajmuje się dystrybutor danego obrazu na terenie kraju. Producent niestety nie ma tu nic do gadania. Autor translacji może stworzyć na dobrą sprawę wszystko, co mu wpadnie do głowy.

– Dla mnie to jest po prostu śmieszne. Tłumaczenia są zupełnie nieadekwatne do oryginału, a często nawet do fabuły dzieła. Większość spokojnie można wy-

jaśnić w miarę bezpośrednio, nie tracąc sensu ani nie pomijając jakiegś szalenie ważnej gry słów – mówi Anna Boczar, uczennica klasy filologicznej.

Szklana pułapka (Die Hard) – klasyczny przykład. Na początku faktycznie byli ludzie uwięzieni w wieżowcu, więc wydawało się nawet chwytliwe. Niestety, w Hollywood jak na złość nakręcili sequel, który już nie działał się w tym samym miejscu i tytuł miał się do filmu jak samochód Fiat 126p do F1. Potem powstała równie złośliwa i pozbawiona wieżowców część trzecia, a następnie czwarta. A pułapka nadal szklana. Można było dać po prostu *Ciężka śmierć* i nie cudować.

– Zresztą *American Beauty* też był niewdzięczny do przetłumaczenia, więc zostawiono tytuł

oryginalny i jakoś świat się nie skończył, a Kraków nie zażądał dostępu do morza – twierdzi Maria Kucharzyk, studentka filologii angielskiej.

„Tytuł musi być czytelny dla widza w danym kraju i nie powinien być identyczny z oryginałem” – tak głosi motto każdej szkoły dla tłumaczy. Czy to jednak znaczy, że nie powinna istnieć żadna granica w postaci odpowiedniej grupy zatwierdzającej? Tytuł to przecież wizytówka. Otóż, jak mówi Monolith Video: „Wydajemy dzieło pod taką nazwą, aby brzmiało bardziej komercyjnie” – i chyba nic więcej nie trzeba dodawać.

– Może i wyda się to dziwne, ale tłumacz, który dosłownie wyjaśnia tytuł, jest w swoim środowisku uważany za raczej kiepskiego. W przypadku przekładów znacznie odbiegających od oryginału zawsze można go pochwalić za kreatywność w próbie ukazania pomostu pomiędzy dwoma światami realiów – polskim i angielskim. Od kuchni wygląda to więc zupełnie odwrotnie niż z punktu widzenia społeczeństwa – mówi Katarzyna Jarosz, doktorantka studiów dla tłumaczy unijnych.

OLGA FESZCZUK



Rys. Ania Rzętała

KRÓTKO, A TREŚCIWIE

Nie chcę, nie muszę wiedzieć

W dzieciństwie rodzice nie tłumaczą niektórych rzeczy dzieciom, jak należy. Powodem może być brak wiedzy, czasu albo ochoty na opowiedzenie potomstwu co, jak i dlaczego się dzieje. Taka nieświadomość pobudza fantazję młodego człowieka, zaczyna on wymyślać mniej lub bardziej racjonalne uzasadnienia.

Dzieciak dorasta, będąc przekonany, że to, co sobie wyobraził, jest jak najbardziej prawdziwe. Niestety moment, kiedy orientuje się, że był w błędzie, może być bardzo bolesny.

– Całe życie myślałam, że wróble to po prostu młode gołębie – wspomina Ewa, licealistka. – Jednak pewnego dnia zobaczyłam na Animal Planet gołębicę, która złożyła jaja. Z nich nie wykuły się wróble, lecz gołębiątka. Nie mogłam tego przeboleć, okrutnie brzydkie były te ptaki. Wiem, trochę to dziecinne, ale wtedy pierwszy raz w życiu zorientowałam się, że świat nie jest do końca taki, jak mi się wydawało – dodaje.

– Nieświadomość jest częścią życia każdego z nas. Żaden człowiek nie wie przecież wszystkiego, w końcu nie musi. Czasami mózg nie chce przyswoić sobie pewnej myśli, odrzuca ją, nie mogąc uporać się z tym, co się wydarzyło – mówi Marcin, student psychologii w Wyższej Szkole Filologicznej we Wrocławiu.

Taką przykrą sytuację miał Bernard, dziesięcioletni uczeń.

– Nie mogłem uwierzyć w śmierć mojego ukochanego dziadka. Nawet pójście na jego

pogrzeb nie mogło sprawić, by dotarł do mnie fakt, iż nigdy więcej go nie spotkam. Snułem plany, jak pewnego letniego dnia o świcie pojedziemy na ryby, a potem wrócimy do domu zjeść pyszny obiad... Miałem wrażenie, że po prostu nie może do nas przyjechać, ale to się wkrótce zmieni. Dopiero w trakcie Bożego Narodzenia, kiedy go nie było, zrozumiałem, że nie żyje. To była chyba najgorsza chwila w moim życiu – wspomina.

Uświadamianie sobie faktów, które „odpychaliśmy” z głowy, na pewno nie jest miłe, ale czasami zdarza się, że jest po prostu wstrętne. Przekonałam się o tym na własnej skórze, kiedy (w pierwszej klasie liceum!) dowiedziałam się, że mój ukochany ser brie jest serem pleśniowym. Jak to? Przecież całe życie unikałam pleśniowych, bo to ohydne – myślałam. W końcu pleśń w serze nie brzmi zachęcająco, prawda?

Trzeba jednak żyć w świadomości, że nie wszystkich rzeczy się dowiemy, że to, co sobie teraz myślimy, już wkrótce może okazać się bzdurą. I zupełnie jak pan Jourdain w komedii Moliera wykrzykniami: „To ja całe życie mówiłem prozą?”

MAGDA HAGLAUER

Szczęśliwa trzynastka

Po transferze Marcina Gortata z Orlando Magic do Phoenix Suns nasz jedynak w NBA w końcu otrzymał szansę pokazania pełni swoich umiejętności. W ekipie Magiców nie miał na to szans, bo niekwestionowanym numerem jeden był Dwight Howard. Teraz przed Marcinem otworzyły się zupełnie nowe możliwości, ponieważ Robin Lopez, podstawowy center Suns, jest co najmniej o dwie klasy gorszym zawodnikiem od Howarda.

– Jestem pewny, że będę w stanie grać na wysokim poziomie. Nie będę szukał usprawiedliwień – mówi Marcin Gortat w wywiadzie dla „Przeglądu Sportowego”.

Wraz ze wzrostem liczby minut spędzanych na parkiecie większe są oczekiwania kibiców. Czy Marcina stać na średnie w okolicach dziesięciu punktów i zbiórek na mecz, okaże się za kilka tygodni. W zespole z Arizony powinno być mu łatwiej niż w ekipie Magic, ponieważ Suns preferują bardzo szybką koszykówkę, taką, jaką lubi Gortat. Ich postawa na deskach nie wygląda zbyt dobrze, więc i tu Polak ma pole do popisu. Jeśli dodamy do tego rozgrywającego Słońc Steve'a Nasha, który jest jednym z najlepiej asystujących graczy w NBA (ok. 10,5 asyst na mecz) Gortat nie powinien mieć problemów z osiąganiem double-double

w każdym meczu. Czas pokaże, czy Polish Hammer wykorzysta szansę od losu.

Ciekawa jest historia numeru, z jakim Gortat występuje w Phoenix. Nie mógł liczyć, że zostanie przy swoim poprzednim numerze, ponieważ z trzynastką w ekipie z Arizony występuje Nash. Dlaczego Polak wybrał numer cztery?

– Po prostu z tym numerem grał mój koszykarski mentor Sasha Obradović. Dla mnie jest on wielkim autorytetem i decydując się na grę z czwórka, chciałem podkreślić, jak ogromny wpływ na mnie, mój rozwój i przebieg mojej kariery miała jego osoba – mówi Gortat w wywiadzie dla serwisu Sport.pl.

Inni uważają, że wybrał ten numer, bo to suma cyfr jeden i trzy. Pomysłów ponoć było więcej, m.in. dwadzieścia trzy (w hołdzie dla Michaela Jordana),

trzydzieści jeden (odwrócona liczba trzynastka) i czterdzieści osiem (numer kierunkowy do Polski). Środkowy reprezentacji Polski planuje powrót do numeru trzynastego, gdy karierę zakończy Nash.

– Wysłałem esemesa do menadżera sprzętu Suns z zapytaniem, czy za dwadzieścia tysięcy dolarów nie dałoby rady odkupić trzynastego numeru. Od Steve'a nie otrzymałem jeszcze odpowiedzi i chyba po prostu za mało zaoferowałem. Może będę musiał podbić stawkę? Ale menadżer sprzętu powiedział, że tak naprawdę mogę o tym zapomnieć... – mówi w wywiadzie dla „Przeglądu Sportowego” Gortat i dodaje:

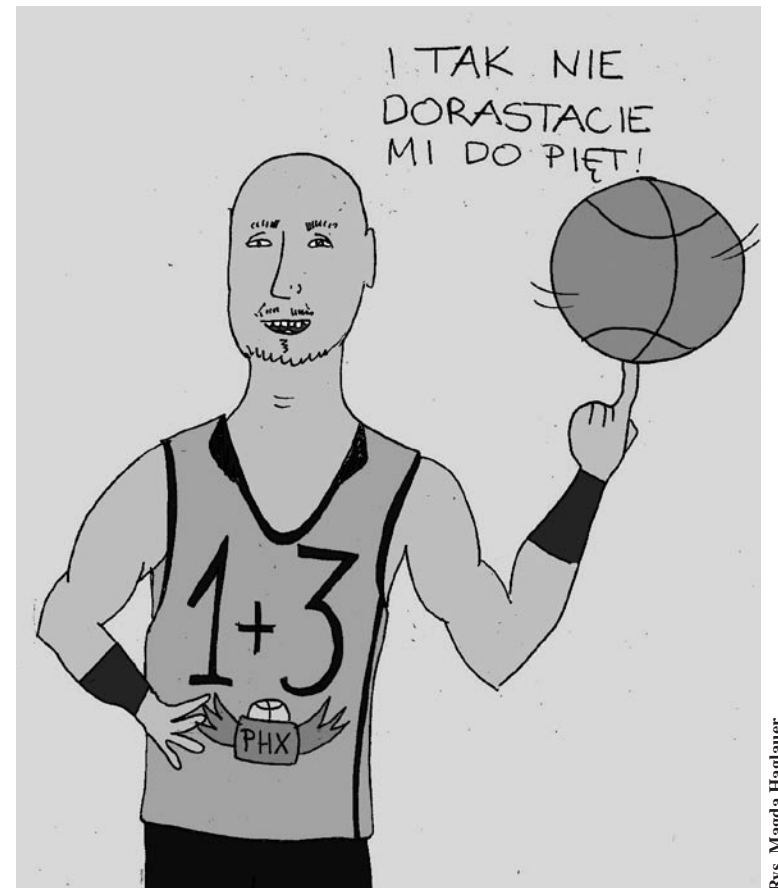
– Steve Nash ma przecież już prawie trzydzieści siedem lat i w najbliższym czasie będzie myślał o zakończeniu kariery, a ja wam gwarantuję, że gdy tylko tak się

stanie, to numer będzie zarezerwowany dla mnie.

Miejmy nadzieję, że Marcin Gortat na dobre zakotwiczy się w ekipie Suns i otrzyma szansę na

pokazanie swoich umiejętności i tego, że zasługuje na więcej minut na parkiecie niż dostawał w Magic.

MICHAŁ DĄBROWSKI



Rys. Magda Haglauer

Felieton Szlifu

Całe życie marzyłem, żeby pomagać ludziom. Dlatego zatrudniłem się w wielkim koncernie farmaceutycznym. Wyobrażałem sobie, że to będzie taki mój mały wkład w dobro ludzkości. Powiedziałbym – poczucie misji. Mocne, prawda? Ale te moje młodzieńcze marzenia bardzo szybko ustąpiły miejsca temu, co niestety muszę nazwać rzeczywistością.

Pierwszego dnia mojej pracy razem z grupką stażystów byłem oprowadzany po całym kompleksie. Na samym końcu weszliśmy do sali konferencyjnej, na której trwało właśnie zebranie wszystkich

razem postąpimy dwa kroki do przodu.

Te słowa wydały mi się trochę śmieszne, ale najwyraźniej trafiły najdobitniej do każdego pracownika znajdującego się na sali (nie

znajduję się wśród bandy dzikusów.

– Dlatego w tym roku – dodał dyrektor – stworzymy psią grypę!

Euforia na sali sięgnęła zenitu. Wszyscy się radowali myślą, że im więcej będzie chorych, tym więcej szczepionek zostanie sprzedanych, tym większe będą podwyżki. Ludzie znowu zaczęli wstawać z miejsc. Niektórzy wykrzykiwali na

całe gardło imię dyrektora, inni bili brawo, a jeszcze inni zaczęli wykonywać jakiś dziwny taniec. Nie mogłem ich zrozumieć. Nie myśleli o ludziach, którzy będą przez nich cierpieć, a może nawet zginąć. Po prostu chcieli jak najwięcej zarobić. Właśnie. „Zarobić”. Oto właśnie było ich poczucie misji.

TOBIASZ WAŁKIEWICZ

Poczucie misji

pracowników. Stażyści się rozeszli, a ja zacząłem się przysłuchiwać przemowie dyrektora owego koncernu:

licząc mnie). Podniecone szepty stawały się coraz głośniejsze.

– Zatrudniłem wybitnych naukowców i ekspertów, którzy stworzą zupełnie nową odmianę grypy. Tym razem dopniemy swego i rozprzestrzenimy ją na całym świecie – przemawiał nadal dyrektor.

Na sali rozległ się okrzyk radości. Pracownicy wstawali z miejsc i skandowali imię mówcy. On z ogromną powagą wyciągnął rękę, czym błyskawicznie wszystkich uciszył.

– To jeszcze nie wszystko – dodał, a na sali ponownie dało się słyszeć podniecone szepty. – Tym razem musimy uderzyć w czuły punkt.

– TAK! – jednym głosem krzyknęła cała sala.

– Tym razem nikt nie będzie się czuł bezpiecznie!

– TAK! – rozległo się znowu.

– Tym razem nie okazemy li-

tości! Słychać było kolejny okrzyk, tym razem jeszcze głośniejszy. Niektórzy w triumfalnym geście podnosili zaciśniętą pięść do góry. W tym momencie wydało mi się, że

– Panowie. Świńska grypa nie była chorobą tak szkodliwą, jak planowaliśmy.

Na sali dało się słyszeć pomruki niezadowolonia.

– Zachorowało o wiele mniej osób, niż zakładali nasi eksperci. Mimo to cała Europa wykupiła sporo szczepionek.

Pojawiły się nowe pomruki, tym razem będące oznaką zadowolenia.

– Ale naszym zadaniem nie jest spoczywanie na laurach. Tym



Rys. Patrycja Turowska

Wszechnicę odwiedzili

Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska pomaga młodym adeptom sztuki pisania zdobywać wiedzę i umiejętności niezbędne do wejścia w dorosłe, dziennikarskie życie. Dzięki niej mają oni, co piątek, możliwość spotkań z politykami, aktorami, duchownymi, dziennikarzami oraz innymi ciekawymi mieszkańcami naszego miasta.

Spotkanie z Roberto Skolmowskim, które odbyło się 17 grudnia, przerodziło się w ożywioną dyskusję z członkami MWD na temat znaczenia sztuki dla Polaków. Dyrektor naczelny i artystyczny Wrocławskiego Teatru Lalek wyjaśnił nam, jak mały odsetek polskiego społeczeństwa czyta chociaż jedną książkę rocznie, jak niewiele ludzi wybiera się do teatru czy na wystawę... Szukaliśmy odpowiedzi na nurtujące pytanie: dlaczego nasi rodacy wolą iść do kina na film bez przestania niż obejrzeć sztukę teatralną? Pod koniec tego niezwykłego spotkania pan Skolmowski zaprosił nas do Teatru Lalek na przedstawienie.

Pierwszym gościem w 2011 roku był Szczepan Radzki, dziennikarz sportowy pracujący w „Gazecie Wyborczej” oraz w portalu internetowym sport.pl. Nasz gość nie tylko opowiedział młodym dziennikarzom, czym różni się pisanie do gazety papierowej i wirtualnej, dowiedzieliśmy się też, dlaczego piłka nożna – w naszym kraju grana na bardzo niskim poziomie – zagnieździła się w sercach Polaków dużo mocniej niż koszykówka. Szczepan Radzki w bardzo zabawny sposób wyjaśnił nam, dlaczego sądzi, że żużel i skoki narciarskie nie są sportem, poznaliśmy również receptę na osiągnięcie treningowego sukcesu.

Szlif

Miesięcznik Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej

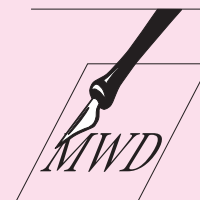
Adres redakcji: ul. Hauke-Bosaka 33, 50-447 Wrocław;
e-mail: szlif_mwd@o2.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Materiałów niezamówionych nie zwracamy.

Wydaje Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska działająca przy XIII LO we Wrocławiu

Opiekun:	Wojciech Chądzyński	
Przewodnicząca MWD:	Paulina Kolańska	tel. 600 453 310
Redaktor naczelna:	Patrycja Pietruszka	tel. 727 538 243
Z-ca red. naczelnej:	Daria Borowska	
Sekretarz redakcji:	Magda Haglauer	
Przygotowanie do druku:	I-BIS Usługi komputerowe. Wydawnictwo s.c.	tel. (071) 342 25 17, www.i-bis.com.pl

Miesięcznik redagują członkowie Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej



Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska organizuje cykliczne spotkania z dziennikarzami, politykami, aktorami i przedstawicielami innych ciekawych zawodów dla wszystkich entuzjastów sztuki dziennikarskiej. Chętnych zapraszamy w każdy piątek o godz. 15.30 do XIII LO przy ul. Hauke-Bosaka 33.